

WIKTORIA GISCHE

Saga Estery

PIERWSZE DNI
NIEPOKOJU

© Wydawnictwo WAM, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Lidia Kozłowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3636-9

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: OZGRAF • Olsztyn

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o

Prolog

Kraków, koniec września 1939 roku

Przepchnął się przez ciasny korytarz urzędu kwaterunkowego. Zgromadziły się na nim grupki rozmawiających i żywo gestykujących mundurowych, którzy przyjechali do miasta w ostatnich dniach, podobnie jak on. W końcu dotarł do drzwi. Pchnął je szybkim, mocnym ruchem i wreszcie znalazł się na dworze. Zamknął oczy. Wziął kilka głębszych oddechów.

Jeszcze miesiąc temu nie zamierzał przyjeżdżać do Krakowa. Ostatni raz był tu dokładnie rok temu, pierwszego października.

Przyjechał, żeby się z nią zobaczyć. Uśmiechnął się na tamto wspomnienie. Może pogoda nie była taka piękna jak dziś, kiedy koniec września wciąż cieszył letnim ciepłem, ale on czuł się wtedy znakomicie. Z jego twarzy nie schodził uśmiech, kiedy patrzył na jej szczęśliwą, roześmianą twarz.

Wyglądała pięknie.

Mógłby z najdrobniejszymi szczegółami opisać, co miała wtedy na sobie. Pamiętał, że inne dziewczęta postawiły na ciemne spódnice, białe proste bluzki i czarne albo granatowe żakiety, ale Estera jak zawsze wyróżniała się na ich tle. Nigdy wcześniej nie widział tej sukienki, musiał jednak przyznać, że leżała na niej idealnie. Wąska góra z długimi rękawami z mankietami, odcinana w pasie, przez co kreacja mocno akcentowała wąską talię Kaufmannówny, zaś dół w kształcie litery „A”, sięgał do połowy smukłej łydki w ciemnych pończochach. Na głowie miała mały kapelusik, który nadawał jej figlarnego wyglądu.

Odgłos przyciskanego w złości klaksonu wyrwał go z zamyślenia. Rozejrzał się i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że stoi na ulicy, blokując przejazd. Skinął ręką w geście skruchy, a potem zrobił kilka kroków do tyłu. Nagle poczuł się w tym mieście obco. Zawsze wracał tu z radością i bijącym sercem, ale kiedy dzisiaj rano przyjechał i zameldował się na Grottgera 1, gdzie swoją siedzibę miało dowództwo ss, czuł zmieszanie, wstyd i coś na kształt strachu.

Czuł jeszcze coś.

Czuł wściekłość i bezsilność.

Rozmowa, a właściwie ostra kłótnia z ojcem, która była bezpośrednim powodem jego przyjazdu do miasta, wciąż nie chciała opuścić jego myśli. Natrętnie tkwiła w jego głowie. Nie potrafił zapomnieć o słowach, jakie wówczas padły. Nie potrafił się skoncentrować, skupić i pozbyć trawiącego go gniewu, który zatruwał mu serce i rozum.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął na całe gardło, patrząc wówczas z pogardą na Ernesta von Rietberga. – Straciłeś mój szacunek już po tym, co zrobiłeś matce, ale mimo wszystko starałem się znaleźć jakieś wytłumaczenie dla tego czynu. Może ci nie przebaczyłem, jednakże postanowiłem, podobnie jak Manfred, nie zrywać z tobą kontaktów. W jakiś sposób współistnieć i współdziałać. W końcu byłeś, jesteś i zawsze pozostaniesz naszym ojcem, nawet jeżeli będę starał się wymazać twoją osobę z pamięci, umysłu i serca. A wierz mi, po tym, czego się właśnie dowiedziałem, przyjdzie mi to z dużą łatwością i z przyjemnością to zrobić.

Sven patrzył na struchlałego starszego mężczyznę, który w tamtej chwili w ogóle nie przypominał głowy rodu von Rietbergów.

Ernest skulił się w sobie. Zamknął. W oczach czał się strach przed odrzuceniem. Przed samotnością i brakiem akceptacji ze strony rodziny.

– Zrobiłem to dla ciebie – wyszeptał wreszcie. Mówił tak cicho, że Sven bardziej domyślił się wypowiedzianych słów, niż je usłyszał. – Dla twojej kariery, dla twojego dobra. Przecież wiesz, jak było. Jak jest... – Mówiąc to, uniósł się lekko z fotela, jakby chciał wstać i podejść do syna, ale zacięta mina Svena skutecznie odebrała mu na to ochotę. Ciężko wzdychając, z powrotem opadł na miękkie siedzisko.

– Jeżeli chcesz dla mnie coś zrobić, to uruchom swoje znajomości. Zawsze się nimi tak chępiłeś. Udowodnij, że jeszcze coś znasz. Że jeszcze coś możesz. Zrób wszystko, abym jak najszybciej mógł się znaleźć w Krakowie. I nie chcę słyszeć, że to się nie uda, bo jak mi Bóg miły, zrobię wszystko, nie bacząc na konsekwencje, które zapewne w efekcie obejmą całą naszą rodzinę, by pogrążyć cię całkowicie. Zniszczę cię, nawet gdyby to miało zniszczyć także mnie.

Tamtego dnia wypowiedział wiele okrutnych słów. Analizował je później wielokrotnie, ale za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: wypowiedziałby je ponownie i za każdym razem miałby poczucie, że były właściwe.

Nie miał wyrzutów sumienia. Nie dążył do uzyskania przebaczenia czy nawet powiedzenia prostego, ale mającego ogromne znaczenie słowa „przepraszam”. Na razie Ernest von Rietberg, który spełnił jego żądanie, dzięki czemu był w Krakowie właśnie teraz, przestał być dla niego ojcem. Ernest von Rietberg przestał na razie dla niego istnieć.

Spojrzał na zegarek.

Powinien już iść i czym prędzej załatwić sprawę zakwaterowania. Nie potrafił jednak zmusić się do tego. Jeszcze nie teraz. Za kwadrans, może dwa. Najpierw postanowił sprawdzić, jak zmienił się Kraków.

Wiedział, że przeprowadzono bombardowania, ale w niewielkim zakresie, tak aby nie zniszczyć miasta, a jedynie pozbawić je

infrastruktury, z której mogło korzystać Wojsko Polskie, dlatego zawrócił w stronę dworca.

Podobno bombardowania były precyzyjne. Pociski spadły na plac przed dworcem oraz rozjazdy kolejowe, blokując całkowicie ruch pociągów. Zrzucono je także na hangary, w których stały lokomotywy spalinowe.

Dziś, pod koniec września, prawie trzy tygodnie od zajścia, dworzec znowu wyglądał niemalże jak kiedyś. O tym, że został zbombardowany, świadczyła jedynie uszkodzona motowagonownia. Jej żelazne dźwigary, które służyły jako podpory, leżały teraz bezładnie, tworząc gąszcz stali przypominający artystyczną wizję szalonego twórcy.

Sven stał na peronie przez kilka chwil. Przyglądał się ludziom, którzy gdzieś wyjeżdżali. Prowadzili normalne rozmowy. Pochłonięci własnymi sprawami, w pośpiechu, nie bacząc na innych, mijali go niczym ducha, przy czym on był nieobecny myślami, a nie ciałem.

Nie mógł odsuwać w nieskończoność tego, co było nieuniknione. W końcu sam do tego dążył. Zrobił wszystko, aby dostać to, czego pragnął, i miał pewność, że nie stanie się inaczej. Idąc niczym skazaniec na ścięcie, ruszył z wolna w stronę Rynku Głównego.

Na widok smukłego gmachu bazyliki Mariackiej i dumnie prezentujących się Sukiennic uśmiechnął się szeroko. Po raz pierwszy czuł, że jest na swoim miejscu.

Poczuł, że wszystko, co robił do tej pory, zmierzało do tej chwili. Od dawna wierzył, że nie jest kowalem własnego losu. Że cokolwiek robimy w życiu, jest z góry ustalone, chociaż wydaje się, że sami jesteśmy odpowiedzialni za własne czyny.

Chciał podejść do jednej z krakowskich kwiaciarek, ale ostatecznie zrezygnował. To nie było miejsce ani czas na takie gesty. Pomyślał, że może powinien wejść do kościoła.

Pomodlić się. Poprosić o wsparcie. O wstawiennictwo. O pomyślność. Ale tego też nie zrobił. Nie był hipokrytą. Już dawno zapomniał, jak to jest się modlić. Nie zamierzał stawać się jednym z tych, którzy w chwili trwogi zwracali się do Boga, chociaż wcześniej nie chcieli mieć z Nim nic wspólnego.

W końcu ruszył w stronę Małego Rynku. Szedł pewnym krokiem. Uniósł głowę, żeby zajrzeć do znanych mu okien, w chwili kiedy kamienica Kaufmannów pojawiła się przed jego oczami.

Za jedną z firanek zauważył jej sylwetkę.

Stała odwrócona do niego tyłem. Wydawało mu się, że z kimś rozmawia. Przystanął. Przez chwilę przyglądał się temu obrazkowi. Chciał, żeby się odwróciła i spojrzała na niego, ale Estera wciąż do kogoś mówiła.

Ruszył do drzwi wejściowych. Klatka schodowa jak zawsze tonęła w mroku. Poczul panujący tu chłód. Było cicho, zimno i ciemno. Przeszedł go dreszcz. Wydawało mu się, że nie miał on nic wspólnego z warunkami, jakie panowały w budynku.

Szedł powoli, stąpając po cichu, tak aby echo jego kroków nie roznosiło się po całym domu. Stał przed dobrze znanymi mu drzwiami. Sięgnął do dzwonka i nacisnął go stanowczo.

Czekał.

Nadstawił uszu. Gdyby nie fakt, że przed chwilą widział Esterę w oknie, przysiągłby, że nie ma nikogo. W mieszkaniu panowała przejmująca cisza. Zadzwoił raz jeszcze. Wreszcie usłyszał jakieś poruszenie i przyciszone, zdenerwowane głosy. Przysiągłby, że rozpoznał głos Oli, ale ona, jak mniemał, była w Anglii ze swoim mężem. Musiał się przesłyszeć.

Wyprostował się. Poprawił mundur, żeby wyglądać nieskazitelnie. Strzepnął z marynarki niewidoczne pyłki.

W chwili kiedy chciał ściągnąć czapkę oficerską i przyglądnąć włosy, drzwi otworzyły się z impetem. W progu stanęła Estera.

Tuż za jej plecami zobaczył Aleksandrę. Zatem miał jednak dobry słuch. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała tym samym. Wykonała ruch, który wskazywał, że chciała podejść i się przywitać, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Skinęła tylko głową, a potem odwróciła się i zniknęła w głębi domu.

Skierował wzrok na Esterę.

Na jej twarzy malowało się przerażenie pomieszane z konsternacją. Jej oczy lśniły, jakby zaraz miały się wypełnić łzami, zaś kąciki ust unosiły się lekko, chociaż ostatecznie, zamiast rozciągnąć się w uśmiechu, pozostały zaciśnięte w wąską kreskę.

Zrobiła dziwny ruch, który wskazywał, że chciała zamknąć drzwi. Najwyraźniej ostatekiem sił powstrzymała się przed tym gestem. Jej ręka drżała. Był pewny, że próbowała nad sobą zapanować. Na razie udawało jej się to skutecznie.

Patrzył na nią z powagą.

Ich spojrzenia spotkały się od razu. Tak jak wtedy, dawno temu, w Wiedniu, kiedy wypatrzył ją, siedząc w jednej z gondoli diabelskiego młyna, i potem w kawiarni, gdy postawił na stoliku mały prezent wybrany specjalnie dla niej.

Panującą między nimi ciężką, przytłaczającą ciszę przerwały słowa Estery, które chociaż wypowiedziane szeptem, szerokim echem odbiły się od ścian zimnej klatki schodowej.

– To ty – powiedziała, patrząc prosto w niebieskie oczy Svena.

I

Kraków, cmentarz Rakowicki, zima 1935 roku

– Przez Jezusa Chrystusa, który jest zmartwychwstaniem i życiem, przedstawiamy Bogu Ojcu bogatemu w miłosierdzie nasze modlitwy i błagania. – Donośny głos księdza odprawiającego mszę pogrzebową Olgi Działoszyńskiej niósł się daleko po cmentarzu Rakowickim.

Estera opuściła głowę. Nie była w stanie patrzeć na załzawioną twarz Franciszka Działoszyńskiego, który wspierał się na lasce, tak jakby tylko ona była jego podporą i dawała mu ochronę przed upadkiem. Stał sam, oddalony od przyjaciół i rodziny. Rażąca wydawała się nieobecność Ludwika, który wciąż przebywał w szpitalu.

Przez szum drzew, których pozbawione liści korony poruszały się w rytm mocnego, zimnego wiatru, przebijał się wyraźny szloch zszokowanych żałobników.

– Módlmy się za Kościół Święty, aby nieustannie głosił całemu światu nadzieję zmartwychwstania w Chrystusie. – Zebrani powtórzyli słowa księdza.

– Módlmy się za wszystkich grzeszników, aby odmienili swoje życie i całą ufność złożyli w miłosierdziu Pańskim. – Głos kapłana rozbrzmiewał pośród podmuchów wiatru, który nasilał się z każdą chwilą.

Estera uniosła głowę i w końcu powiodła wzrokiem po zebranych. Nie знаła tych ludzi, ale była im wdzięczna, że mimo nieprzyjemnej aury przybyli tak licznie, aby pożegnać panią Działoszyńską i w ten symboliczny sposób złączyć się w bólu z jej mężem.

Nagle absurdalna myśl pojawiła się w jej głowie. Jakiś niezdolny podszept kołatał się w myślach, powtarzając raz za razem pytanie, czy gdyby byli praktykującymi żydami uczęszczającymi do synagogi, przyszliby tu dziś i stanęli nad grobem matki Ludwika? Chociaż nie chciała o tym myśleć, nie potrafiła się pozbyć tego pytania.

Pewnie tak, zapewniała się w duchu. W końcu Działoszyńscy byli przyjaciółmi rodziny. Bardzo bliskimi przyjaciółmi. Poza tym tylko ojciec był wyznania mojżeszowego. Zbeształa się za idiotyczne myśli, które nigdy wcześniej jej nie nachodziły, i aby przestać zawracać sobie nimi głowę, wróciła do wydarzeń sprzed kilku dni. Wydarzeń wciąż świeżych, żywych i wyrazistych.

– Wydarzył się wypadek... – Wypowiedziane tamtego poranka słowa nadal brzmiały jej w uszach.

W przedpokoju mieszkania Kaufmannów, gdzie zebrali się prawie wszyscy wiedzeni ciekawością, kto może się do nich dobijać z samego rana, zaledwie kilka godzin po skończonym balu sylwestrowym, kiedy pewnikiem większość krakowian spała, zaległa grobowa cisza.

– Mówże! – wykrzyknęła w końcu Ola, wskazując ręką na kartkę, która leżała u stóp Estery.

– Mów – ponagliła matka.

Esterę sięgnęła po telegram. Nie musiała do niego zaglądać. Tych kilka słów, które zostały tam zapisane, wyrzyło jej się w pamięci.

– Działoszyńscy mieli wypadek samochodowy – wyszeptła, kierując się do pokoju.

Nagle poczuła, że jej nogi zrobiły się miękkie jak z waty, i wiedziała, że jeśli nie usiądzie od razu, to upadnie tam, gdzie stała. Pozostali domownicy ruszyli za nią niczym niechciane widma. Rozsiedli się w salonie. Siedzieli tam przez jakiś czas, może nawet kilka kwadransów, w ciszy, bez słowa.

– Jadę do Franciszka, on już byłby u nas z pytaniem, czy nie chcemy pomocy. – Po tych słowach Aaron Kaufmann zerwał się z kanapy i ruszył do sypialni.

– Pojadę z tobą – odezwał się Dawid, idąc w jego ślady.

Estera już się podnosiła, aby dołączyć do ojca i brata, ale słowa matki zatrzymały ją w miejscu.

– Usiądź, kochanie. Nie możemy jechać wszyscy. Niech jedzie ojciec z Dawidem. Niech dowiedzą się wszystkiego. Ojciec będzie najlepiej wiedział, co robić i jak pomóc.

Matka miała rację, tego Estera nie mogła negować, ale nie podołało jej się, że musiała zostać w domu. Jednak w takiej chwili nie zamierzała polemizować. Posłusznie usiadła.

Może powinna się wtedy czymś zająć, aby jej myśli nie biegły w niepożądanym kierunku, malując w głowie najczarniejsze scenariusze. Serce biło jej jak oszalałe, kiedy wspominała Ludwika, modląc się w duchu, aby jemu i jego rodzicom nic się nie stało.

Tymczasem zamiast poszukać sobie zajęcia, zaległa na kanapie, nie doprowadzając się nawet do porządku po nieprzespanej nocy. Nie ona jedna zapomniała się tamtego dnia. Także Ola zasiedziała się obok niej cicha, zamyślona i przygnębiona. Na jej gładkiej twarzy pojawiło się kilka zmarszczek, a pod oczami uwidoczniły się ciemne kręgi.

– Przygotuję śniadanie – odezwała się Marianna, maszerując w stronę kuchni.

Chwilę później salon opuściła także Zofia, udając się do sypialni, w której do drogi szykował się ojciec.

– Jestem okropnym człowiekiem – wyszeptała Ola, patrząc wciąż w stronę okna. Kiedy jednak odwróciła się i spojrzała na Esterę, jej oczy błyszczały od łez.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy powiedziałas, że zdarzył się wypadek, od razu pomyślałam o Thomasie. Setki myśli wirowało w mojej głowie. Wyrzucałam sobie swój upór, że nie chciałam się z nim zobaczyć. Że byłam zbyt dumna, aby zmierzyć się z uprzedzeniami jego rodziców, przez co karałam nie tylko Thomasa, ale i siebie. Och, Estero, panicznie bałam się tego, co mogłaś powiedzieć. Że to Thomas...

Z oczu Oli popłynęły łzy. Estera objęła siostrę.

– Takie myśli nie czynią cię złym człowiekiem. – Próbowала ją pocieszać, ale Aleksandra rozkleiła się na dobre. Szlochała coraz mocniej.

– Nie – mówiła rwanym głosem. – Oczywiście, że nie. – Zachłysnęła się własnymi łzami. – Ale to, że odetchnęłam z ulgą, kiedy powiedziałas, że to Działoszyńscy mieli wypadek, już tak. Rozumiesz? – zapytała, ale nie pozwoliła Esterze odpowiedzieć. – Odetchnęłam z ulgą i podziękowałam Bogu, że to nie mój Thomas.

Estera mocniej przytuliła siostrę. Przez chwilę obejmowały się, milcząc, aż w końcu młodsza z dziewcząt odezwała się szeptem.

– W takim razie ja też jestem złym człowiekiem, ponieważ podobnie jak ty odetchnęłam z ulgą, że Sven jest cały i zdrowy. Wstydzę się swoich myśli – dodała szybko, odsuwając się od siostry. – Wstydzę się i ciężko mi o nich nawet myśleć, a co dopiero mówić na głos, ale tak właśnie było, a przecież to chodzi o Ludwika i jego rodziców...

Przez kolejne godziny siedziały w salonie w milczeniu i nerwowym oczekiwaniu na powrót ojca i Dawida. Z trudem zjadły śniadanie przygotowane przez Mariannę. Gdyby nie matka, nie skubnęłyby ani kęsa, ale Zofia Kaufmann była nieugięta, wmuśzając w córki jedzenie.

– Aby zmierzyć się z tragedią i traumą, trzeba być silnym. Nie pozwolę więc, abyście urządziły głodówki. Może i jesteście już dorosłe, ale ja wciąż jestem waszą matką i mam cały wachlarz

narzędzi, aby jeżeli zajdzie taka konieczność, wmusić w was tych kilka kromek świeżego chleba z masłem i konfiturą.

O dziwo zjadły wszystko ze smakiem, uświadamiając sobie po pierwszym kęsie, jak bardzo były głodne. Jednak na obiad poprosiły tylko o coś szybkiego i lekkiego, dlatego też siadając do stołu jeszcze w nocnych koszulach i szlafrokach – chociaż Zofia Kaufmann nie pozwoliła sobie na takie zachowanie i zaraz po wyjściu Aarona przebrała się i pomalowała, jak to miała w zwyczaju – podziękowały Mariannie za pachnący złocisty rosół.

Było już ciemno, kiedy Aaron i Dawid wrócili do domu. Po ich strapionych minach i zaczerwienionych oczach zebrane w salonie panie domyśliły się prawdy.

– To niemożliwe – szlochała Zofia, próbując wyprzeć ze świadomości fakt, że Olga Działoszyńska, jej wieloletnia przyjaciółka, kobieta młoda, bo w końcu raptem kilka miesięcy wcześniej ukończyła pięćdziesiąt jeden lat, nie żyje. – To zapewne jakaś koszmarna pomyłka. Aaronie, czy nie tak się właśnie stało? Wszak ludzie wciąż jeszcze walczą z wczorajszym przepiciem. Ktoś musiał coś źle zanotować. To nie może być prawda – narzekała, wtulając się w męża, który kołysał ją delikatnie w ramionach.

– Niestety, o żadnej pomyłce nie może być mowy. Sprawdziliśmy wszystko dokładnie, zdając sobie sprawę z okoliczności, w jakich wypadek się wydarzył. I nawet gdybyśmy z całych sił zaklinali rzeczywistość, nie wróci to życia Oldze.

– Jak to się zatem stało? – zapytała Estera, która na razie siedziała cicho z kolanami pod brodą, myśląc o rannym Ludwiku, który jak przekazał im w krótkich słowach Dawid, przebywał w szpitalu.

Jedynie pan Działoszyński wyszedł ze zdarzenia bez szwanku, jeśli tak można powiedzieć, bo zaledwie z kilkoma niegroźnymi zadrapaniami.

– Wiem tylko tyle, ile udało nam się dowiedzieć na komisa-
riacie, a i tak mieliśmy szczęście, że oficer, który zechciał z nami
rozmawiać, okazał się dość kontaktowy i nie miał obiekcji podzielić
się pewnymi wiadomościami z ludźmi, którzy jakkolwiek na to
patrzeć, nie są rodziną Działoszyńskich. Dobrze trafiliśmy, bo ów
człowiek zna Franciszka i wie, że ten od lat przyjaźni się z nami
i traktuje nas jak rodzinę właśnie.

– Och, błagam cię, Aaronie, mówże już, jak do tego doszło –
słabym głosem poprosiła Zofia, patrząc na męża z pretensją.

– Okazało się, że na pomysł, aby na kilka godzin udać się do
gospody w Czyżynach, wpadł Franciszek. Nie mam pojęcia, co
go podkusiło. Nie chciałem o tym z nim dziś dyskutować. Pewne
jest, że pojechali tam w trójkę samochodem, który Działoszyński
kupił niedawno Ludwikowi w prezencie za uzyskane prawo jazdy.

Estera mimo okoliczności musiała uśmiechnąć się na te słowa,
przypomniawszy sobie bowiem, że Ludwik, który z wiadomych po-
wodów stronił od niej ostatnio, napisał do niej długi list, taki jak
kiedyś, chwalać się w nim nie tylko zdaniem egzaminem, z którego
był niezwykle dumny, ale przede wszystkim pięjąc z zachwyty nad
samochodem marki Avions Voisin.

Ekscytacja wylewała się dosłownie z kart otrzymanego przez
Esterę listu. Wciąż pamiętała słowa Ludwika, który pisał, że to
jedna z najbardziej ekstrawaganckich marek francuskich, jakie
kiedykolwiek stworzono. Chociaż nie miała okazji być przy wrę-
czaniu kluczyków do modelu C25, który zadebiutował zaledwie
przed rokiem, słyszała okrzyki radości Ludwika.

– Gdybym mógł w jakiś sposób cofnąć czas – mówił Kauf-
mann – starałbym się przekonać Franciszka, aby za nic w świe-
cie nie pozwolił siadać w takich okolicznościach za kierownicą
młodemu, niedoświadczonemu kierowcy. Zresztą Franciszek
znał moje zdanie na ten temat. Kiedy w tajemnicy zdradził

mi, że kupił samochód Ludwikowi, miałem wątpliwości, ale kiedy wyznał, o który model chodzi, powiedziałem mu, że to lekkomyślność. Oczywiście nie winię Ludwika... – Kaufmann zawiesił głos. – Ale sądząc z tego, co mówił policjant, możliwe, że gdyby auto prowadził bardziej doświadczony kierowca, efektem byłyby zaledwie zadrapania. Jechali w nocy – mówił Aaron, opisując całe zajście. – Było około drugiej. Z naprzeciwka jechał inny kierowca, cóż mogą powiedzieć, mocno nietrzeźwy, wciąż jeszcze w szampańskim sylwestrowym nastroju. Ludwik wpadł zapewne w panikę, widząc nadjeżdżający zygzakiem samochód. Szarpnął kierownicą zbyt gwałtownie, a dodatkowo, chcąc wyhamować, szybko nacisnął hamulec z całych sił. Wpadli w poślizg. A jaki jest tego efekt, już wiemy. Olga niestety nie przeżyła, Ludwik w stanie poważnym, ale całe szczęście niezagrażającym życiu, jest w szpitalu, a Franciszek ma raptem kilka zewnętrznych zadrapań. Na temat ran wewnętrznych nie będę się wypowiadał, bo te nigdy się nie zagoją.

Patrząc teraz na Działoszyńskiego, Estera wspominała słowa ojca. Była gotowa zgodzić się z nim w całej rozpiętości. Obawiała się o pana Działoszyńskiego. Miała dziwne wrażenie, że pragnął dołączyć do żony, rzucić się za opuszczaną do grobu trumną, a jedyne, co go przed tym powstrzymywało, to troska o Ludwika.

Ceremonia pogrzebowa powoli dobiegała końca. Ksiądz zaintonował ostatnie słowa, potem podszedł do Działoszyńskiego, aby złożyć mu kondolencje. Rozmawiali ze sobą przez chwilę, szepcząc. W końcu kapłan skinął głową i zrobił miejsce dla pozostałych żałobników, którzy czekali z niecierpliwością, aby podejść do Działoszyńskiego z wyrazami współczucia.

Kaufmannowie stali z boku. Postanowili podejść na samym końcu, aby wesprzeć przyjaciela także po ceremonii. Zapytać o jego potrzeby i zaoferować pomoc.

Czekając, aż kolejka składających kondolencje zmniejszy się, Estera rozejrzała się po cmentarzu Rakowickim.

Lubiła zachodzić na cmentarze. Przyglądać się nagrobkom. Zastanawiać się nad życiem pochowanych tam ludzi. Myśleć o czasach, w których przyszło im się urodzić i żyć. Lubiła w głowie malować scenariusze dla zmarłych. Jak spędzali dzieciństwo, jakich mieli rodziców. Jak kochali i nienawidzili.

– To nienormalne. Kto z własnej woli chodzi na cmentarz? Na spacer można iść do parku albo na Planty, ale na cmentarz? – Ola za każdym razem wygłaszała głośno i dobitnie swoje zdanie na ten temat, lecz słowa i niezrozumienie ze strony siostry nigdy nie zniechęcały Estery do spacerów po krakowskich nekropoliach.

Dziwne, przemknęło jej teraz przez myśl, że była tu raptem dwa razy.

Zerknęła w stronę ojca. Uchwycił jej spojrzenie. Skinął głową, pozwalając na samotny spacer wśród nagrobków. Potrzebowała tego.

Oddalenia, samotności, uspokojenia. Potrzebowała chwili, aby zrozumieć, dlaczego wydarzyła się rzecz tak straszna i niepojęta. Wszystko było jeszcze świeże i takie niezrozumiałe.

– Czy będziesz mieć coś przeciwko? – Słaby głos Oli wdarł się do umysłu zamyślonej Estery. Podała siostrze ramię, zgadzając się bez słów na jej towarzystwo. Szły powoli, oddalając się od żałobników, którzy wciąż jeszcze składali Działoszyńskiemu kondolencje.

– Właśnie myślałam o tym, że byłam tu raptem dwa razy – odezwała się Estera. – Dziwne – dodała po chwili.

Ola słuchała jej słów, patrząc gdzieś w dal, przed siebie. Nie miała ochoty na dysputy, ale Esterze milczenie siostry nie przeszkadzało. Była gotowa prowadzić monolog.

– Czy wiesz, że to najstarsza nekropolia w mieście? Ma już ponad sto lat. Cały wiek. Tak niewiele i tak dużo zarazem. W takich chwilach jak dziś czas staje się wręcz namacalny. Czas i nasza

kruchosć. Nagle człowiek zdaje sobie sprawę, że nic nie trwa wiecznie. Że życie, tak radosne, wesołe, dopiero będące na początku drogi, może się nagle skończyć. Bez uprzedzenia. Gaśnie niczym świeczka, której płomień zdmuchnął wiatr.

– Mam zamiar napisać do Thomasa. – Ola zerknęła przelotnie na Esterę, która zatrzymała się obok jednego z nagrobków.

– Kiedy patrzę na te daty, a szczególnie na datę urodzin, zawsze zastanawiam się, jak by to było pojawić się na świecie na początku ubiegłego wieku, albo jeszcze wcześniej. Sto, dwieście, a nawet pięćset lat. Jakie życie prowadziła ta kobieta? – Mówiąc to, Estera skinęła głową w stronę nagrobnej płyty. – Kim była? Czy była szczęśliwa? Czy miała dzieci? Czy kochała? Myślałaś kiedyś o tym? – zapytała, nie patrząc w ogóle w stronę siostry. – Jak by to było cofnąć się w czasie? Zobaczyć na własne oczy to, o czym można przeczytać jedynie w książkach. Poczuć zapach Krakowa sprzed wieków? Zajść do Sukiennic, kiedy kramy były surowe, a towar prosty i zwyczajny. Pójść na mszę do kościoła Mariackiego. Zobaczyć ołtarz taki błyszczący, pachnący wręcz nowością. Spotkać wśród zebranych mistrza Stwosza. Myślałaś kiedyś o tym? – powtórzyła pytanie z zapalem.

Na policzkach miała wypieki, a oczy lśniły, nie od łez, ale raczej od gorączki, którą Estera czuła pod skórą.

– Mam wrażenie, że coś złego wciąż wisi w powietrzu. – Ola szeptała te słowa jakby do siebie. Nie miała zamiaru odpowiadać na pytania Estery. Najwyraźniej obie prowadziły własne monologi. Nie przeszkadzało im to w żaden sposób. To głośne wyrażenie myśli. To potrzeba uzewnętrznienia swoich lęków.

Zatrzymały się w części wojskowej, która przylegała do ulicy Prandoty.

– Wszystko to taka bezsensowna śmierć – odezwała się Aleksandra. – Chodźmy już – dodała po chwili nieco głośniejszym głosem, ciągnąc Esterę z powrotem na miejsce pochówku pani Działoszyńskiej.

Kiedy dotarły do rodziców, Franciszek stał samotnie nad grobem żony. Modlił się w ciszy, nie niepokojony już przez nikogo.

– Idźcie do domu – szeptem odezwał się Aaron, patrząc na żonę i córki. – Ty też, Dawidzie. Ja zostanę z Franciszkiem. Nie wiem, czy zamierza wracać do domu, ale postaram się namówić go na wizytę u nas.

– Koniecznie – wtrąciła Zofia. – On nie może, ba, nie powinien zostawać teraz sam. Nie przyjmuj odmowy. Zresztą powiedz, że tak będzie wygodniej. Wszak Ludwik jest tu, w mieście, w szpitalu. Nie ma powodu, dla którego Franciszek miałby dojeżdżać z Czyżyn, żeby odwiedzać syna, skoro u nas miejsca jest pod dostatkiem.



– Drogi Svenie – pisała Estera, szepcząc do siebie po cichu – aż trudno uwierzyć, że to już połowa lutego. – Mówiąc to, oderwała rękę od białego papieru i spojrzała w stronę okna.

Na dworze było ciemno. Dochodziła wprawdzie dopiero osiemnasta, ale świat już dawno zrobił się czarny, rozświetlony jedynie blaskiem latarni i leżącego na chodnikach śniegu, który wciąż padał.

Właśnie teraz, patrząc przez okno na istic zimowy krajobraz, zdałam sobie sprawę, że nie pamiętam, czym zajmowałam się rok temu o tej porze. Pomyślisz zapewne, czy to ważne? Pewnie nie, ale melancholijny nastrój, który nie opuszcza mnie od tygodni, sprawił, że poczułam jakieś dziwne ukłucie niezadowolenia z tego faktu.

Czuję się rozkojarzona, rozbita i wciąż smutna. Powiesz, że to naturalne w takich okolicznościach, ale fakt ten jest także efektem znużenia atmosferą panującą w domu.

Kiedy ojciec wrócił z panem Działoszyńskim tamtego wieczora, po pogrzebie pani Olgi, poczułam ulgę, że udało mu się przemówić mu do rozumu i że zdecydował się przyjąć naszą gościnę. Mama stanęła na wysokości zadania, otaczając go opieką.

Zresztą każdy z nas starał się zapewnić mu poczucie komfortu i bezpieczeństwa. Ojciec, kiedy tylko pozwalały na to obowiązki, wychodził razem z Działoszyńskim w odwiedziny do Ludwika, który dopiero kilka dni temu pozwolił, aby wizytę mógł złożyć ktoś inny niż ojciec. Oczywiście od razu skorzystałam z tej okazji, ale na razie nie o tym chciałam pisać. Wrócę do tego w dalszej części listu.

Muszę komuś o tym powiedzieć. Muszę wylać z siebie ten żal, który siedzi mi w sercu i zatruwa moje myśli. Chciałam podzielić się tym z Olą, ale w końcu doszłam do wniosku, że nie powinnam. Jestem pewna, że Aleksandra wysłuchałaby mnie z uwagą, boję się jednak, że mogłaby mnie nie zrozumieć.

Tymczasem nie chcę wyjść na osobę bezduszną, ale mam już dość.

Współczujemy Działoszyńskim, lecz ta żałoba pochłania nas wszystkich. Mam wrażenie, że mama także zaczyna czuć się osaczona, jednakże z uwagi na dobro Działoszyńskiego nie ma serca prosić go, aby wrócił już do siebie.

To nie tak, że pan Franciszek nam wadzi. Broń Boże, nie. Jest człowiekiem miłym, serdecznym, pomocnym i cichym, ale wciąż głęboko przeżywającym stratę najbliższej osoby. On cierpi. Widać to na każdym kroku. Nie dziwię się i nie potępiam. Nie wiem, jak to możliwe, że potrafi to przeżyć. Wątpię, abym ja potrafiła. Nie chcę nawet myśleć o podobnej sytuacji.

A jednak to jego cierpienie udzielające się nam wszystkim staje się dla mnie brzemieniem, które mnie dławi. Duszę się w tej żałobie. Zapomniałam, jak to jest uśmiechać się serdecznie, żartować

i śmiać się do rozpuku. Boję się powiedzieć coś radosnego i wesołego, aby go nie urazić.

Wychodzę na spacer tak często, jak tylko jest to możliwe. Zwiedzam Kraków, chociaż znam to miasto jak własną kieszeń. Z tego wszystkiego ostatnio nieco nadważyłam swoje zdrowie i przeziębiam się. Całe szczęście wszystko minęło tak szybko, jak się pojawiło, i mogłam wreszcie odwiedzić Ludwika.

Estera odłożyła pióro. Zamknęła oczy. Wspomnienie wczorajszej wizyty wciąż było świeże i bolesne.

Jej szybkie kroki niosły się po korytarzu Wojskowego Szpitala Okręgowego na Wrocławskiej. Estera zdjęła już rękawiczki, ale nadal czuła odrętwienie w palcach. Dzień był niesłychanie mroźny i chociaż szła tutaj żwawym marszem, przecinając ulicę Sławkowską, żeby wreszcie dotrzeć na Długą, wciąż trzęsła się jak osika.

Najchętniej zaczęłaby biec, żeby wymusić szybsze krążenie, ale nie odważyłaby się na takie posunięcie. Zresztą i tak została już zgromiona wzrokiem przez mijaną pielęgniarkę, nie zamierzała jednak zwalniać. Idąc, zaglądała do przepełnionych sal. W myślach dziękowała za dobre zdrowie. Za nic w świecie nie chciałaby leżeć czy to w tym, czy w innym szpitalu. Wszak wszystkie wyglądały podobnie.

Nie było tu jakiegokolwiek ciepła czy radości, która mogłaby sprzyjać szybszemu powrotowi do zdrowia i lepszej rekonwalecencji. Pokręciła głową niezadowolona. Zamyśliła się nad wystrojem tego miejsca tak bardzo, że prawie minęła salę, w której leżał Ludwik. Zobaczyła jego chudą, wymizerowaną twarz w ostatniej chwili.

– Ludwiku – rzekła, wywołując na jego ustach dziwny grymas, który wzięła za delikatny, prawie niewidoczny uśmiech.

Wchodząc, przywitała się z pozostałymi pacjentami. Było ich sporo. Sala okazała się mała, a łózek stało dużo, panował więc zaduch. Miała ochotę otworzyć okno i przewietrzyć pomieszczenie, ale obawiała się reakcji tak personelu, jak i samych pacjentów. Podeszła do łóżka Ludwika.

Przez chwilę stała obok Działoszyńskiego, rozglądając się za czymś, na czym mogłaby spocząć. Kiedy jednak nie zauważyła żadnego krzesła, po prostu przysiadła na rogu jego łóżka.

Studiowała jego twarz. Był wymizerowany i przerażająco smutny. Chciała powiedzieć coś, co mogłoby go rozweselić, ale chociaż gorączkowo szukała w myślach odpowiednich słów, nic nie przychodziło jej do głowy.

Milczała zatem. Sięgnęła po jego dłoń i zamknęła szczupłe, zimne palce w swojej nieco już cieplejszej ręce.

– Wczoraj na kolacji twój ojciec mówił, że czujesz się już lepiej. Zdrowiejesz. Pan Franciszek ma nadzieję, że niedługo będzie mógł zabrać cię do domu. Tam z pewnością szybciej dojdiesz do siebie. Nigdzie nie jest tak dobrze jak w domu.

Estera spoglądała na Ludwika, który wciąż unikał jej wzroku, patrząc w stronę okna. Zerknęła w tym samym kierunku. Śnieg znowu zaczął intensywnie sypać.

– Idąc do ciebie, zmarłam prawie na kość – zaśmiała się cicho. Ścisnęła jego rękę, chcąc zmusić go, żeby wreszcie na nią spojrzeć, ale Ludwik nie reagował. – Nie pamiętam, kiedy było tak zimno. Chodniki są zasypane, dzieci dokazują i cieszą się ze świeżego puchu, który przy takim mrozie skrzypi pod nogami i pięknie się skrzy. Aż sama miałabym ochotę pojeździć na sankach. A ty? – Zadała to głupie pytanie, bo nie miała pojęcia, jak z nim rozmawiać.

Westchnęła. Sięgnęła po torbę, którą położyła obok siebie na łóżku.

– Marianna na wieść o moich odwiedzinach przygotowała ci kilka specjałów. Zostawię na szafce. Jest twoje ulubione ciasto czekoladowe ze skórką pomarańczową i paszteciki. Zjedz koniecznie. Mam też trufle, które zrobiłyśmy z Olą specjalnie dla ciebie. Pamiętam, że to twoje ulubione słodycze. Nie powinnyśmy tego robić, ale dodałyśmy odrobinę rumu – szepnęła, nachylając się w stronę Ludwika.

Nagle odwrócił się w jej stronę. Patrzył na nią, ale jego wzrok był nieobecny, jakby nie miał pojęcia, że siedziała na jego łóżku już od jakiegoś czasu.

– Ludwiku, spójrz na mnie, proszę – mówiła do niego łagodnie. – Ludwiku – nalegała, lecz jego spojrzenie wciąż było nieobecne, zamglone.

– To moja вина – szepnął niewyraźnie. Bardziej domyśliła się jego słów, niż je usłyszała. – To moja вина – powtórzył nieco głośniej.

– Nie, Ludwiku. Na pewno nie twoja. – Estera próbowała do niego dotrzeć, jednak on nie słuchał.

– To moja вина! – mówił coraz głośniej. – Moja вина! Moja вина! Moja вина! – Jego krzyk niósł się nie tylko po pokoju, ale i po całym korytarzu.

– Ludwiku, proszę, uspokój się. – Estera pochyliła się nad nim. Delikatnie dotknęła jego twarzy, lecz odsunął się gwałtownie, rzucając się na łóżku.

– Proszę odejść. – Głos pielęgniarki, która wpadła do sali, przełamał się przez powtarzane okrzyki Ludwika. – Proszę już iść. Zaraz dostanie coś na uspokojenie.

Estera odsunęła się od łóżka Działożyńskiego. Patrzyła na niego zaniepokojona. Z całych sił powstrzymywała łzy, które zbierały się jej pod powiekami. Chciała coś powiedzieć, ale Ludwik w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Miotał się na łóżku, powtarzając wciąż te same słowa niczym mantrę. Zrezygnowana wyszła z jego pokoju.

Siedząc teraz przy biurku i patrząc na list, który właśnie pisała, znowu poczuła dojmujące uczucie smutku. Sięgnęła po pióro. Musiała kontynuować. Chciała wyrzucić z siebie wszystkie żale i troski.

Czułam się taka bezradna. Patrzyłam na niego i nie potrafiłam w tym chudym, wymizerowanym młodym mężczyźnie zobaczyć swojego dawnego przyjaciela. To była jego twarz, jego głos, ale oczy nie należały do niego. Takie dzikie. Takie puste...

Nie wróciłam od razu do domu. Poszłam na długi spacer. Było przeraźliwie zimno, ale musiałam ostudzić rozpaloną głowę i galopujące myśli, w których przewijały się setki pytań, a wszystkie podobne do siebie.

Co się stanie z Ludwikiem? Czy wyzdrowieje? Może fizycznie tak, ale czy psychicznie wróci do siebie? Czy w tym dziwnym, obwiniającym się człowieku odnajdę dawnego przyjaciela? Czy kiedy wróci do domu, będzie umiał zachwycać się różami? Wszak one będą mu przypominały o matce.

I jeszcze pan Działoszyński... Trzyma się, bo musi. Nie dla siebie, tego jestem pewna, ale dla syna, dla Ludwika. Czy i on z czasem się podda i zapadnie w sobie, jak Ludwik? Czy kiedy zrozumie, że przez ten tragiczny wypadek w pewnym sensie stracił nie tylko żonę, ale i syna, zostanie przy zdrowych zmysłach?

Och, Sven, kochany, nie ogarniam tego tragizmu. Wciąż się zastanawiam, dlaczego to musiało się stać? Co takiego zrobili Działoszyńscy, że zostali ukarani w tak okrutny sposób?

Staram się zajmować myśli czymś innym. Czytam, maluję, ale ten smutek, który w końcu obecny jest w naszym domu przez cały czas, nie pozwala mi się od tego oderwać całkowicie.

Dlatego poszłam na ten spacer. Krążyłam po mieście, nie widząc i nie słysząc. Miałam wrażenie, że zesłam Kraków wzdłuż i wszerz.

Gdzie ja nie byłam?

Pod zamkiem, na Plantach, na Rynku. Weszłam nawet do kościoła Mariackiego. Rzadko zachodzę do świątyni. Przypomniałam sobie, że kiedy byłam w Wiedniu, moja droga Miriam, której też opisałam to straszne wydarzenie, zapytała mnie, czy chcę wejść do katedry św. Szczepana. Odparłam jej wówczas, że nie. Że prawie wcale nie chodzę ani do kościoła, ani do synagogi, ale złapałam się na tym, że jeżeli już najdzie mnie przemożna siła, aby się pomodlić i poprosić o wsparcie, wtedy wchodzę do kościoła. Może powinnam się nad tym głębiej zastanowić? Może powinnam zrewidować swoje poglądy?

Może jednak opowieści Mamy, w szczególności te, które snuła w okolicach Bożego Narodzenia, bardziej do mnie przemówiły niż skromne historie Ojca, który nigdy za bardzo nie wdawał się z nami w dyskusje na temat wiary i religii.

Cóż, jak widzisz, tragedie zbliżają nas do świętości. Jakież prawdziwe staje się powiedzenie, że „kiedy trwoga, to do Boga”.

Gdy opuściłam kościół, naprawdę poczułam się lepiej. I nawet teraz wciąż żywię nadzieję, że będzie dobrze. Nie od razu. Nie jestem naiwna, ale z czasem wszystko się ułoży. Z czasem wróci dawny Ludwik.

Będąc na Rynku, zaszłam jeszcze do Sukiennic. Lubię tam spacerować. Zaglądać, co sprzedawcy wykładają na kramach. Oglądać rękodzieło. Podziwiać zręczność ludzkich dłoni. Przymierzać kolorowe chusty. Uśmiechać się na widok błyszczącego w świetle latarni złota i srebra. Jestem niczym sroka, która zachwyca się błyskotkami.

Uśmiechasz się na te słowa, prawda?

Nie ma Cię przy mnie, ale wyraźnie słyszę, jak mówisz, że wszystkie kobiety zachwycają się błyskotkami. Pewnie masz rację...

W końcu zrobiło się późno i spacerkiem wróciłam do domu. Nie chciałam, żeby rodzice zaczęli się martwić. Już raz wprawiłam

ich w tak wielkie zmartwienie, że do dziś mam z tego powodu wyrzuty sumienia i nie chciałabym tego powtarzać, nawet przypadkowo.

Idąc w stronę domu, znowu pomyślałam o Ludwiku, ale tym razem nie w kontekście wypadku i jego pobytu w szpitalu. Przypomniałam sobie bowiem jego uśmiechniętą twarz, kiedy podczas jednej z naszych wizyt w Czyżynach pochwalił się, jaką przyjemnością jest prowadzenie własnego samochodu. Był taki radosny, taki szczęśliwy...

Dłoń Estery zawisała nad kartką. Dziewczyna zerknęła na siedzącą po drugiej stronie pokoju Olę, która czytała gazetę ojca, co było dla niej nietypowe i wprawiło Esterę w konsternację. Ostatnimi czasy Aleksandra oddawała się lekturze „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, czym zadziwiała rodzinę zasiadającą do wspólnego śniadania. Domagała się, aby ojciec nie zabierał prasy ze sobą ani nie chował jej w gabinecie.

Estera westchnęła. Słowa Oli dobitnie świadczyły o tym, jak bardzo uraziła ją matka Thomasa.

– Myślałam...

– Źle myślałaś. – Ola nie dała Esterze dokończyć zdania. – To, że martwię się o Thomasa, to, że bolesna jest sama myśl, że coś mogłoby mu się przytrafić, to, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, że on mógłby ucierpieć w takim wypadku, nie znaczy, że zmieniłam zdanie. Nie, nie zmieniałam. Pragnę się uczyć. Doksztalcać. Poznać świat, ten bliski i daleki. Chcę im pokazać, że nie jestem głupią gęsią... – Głos Aleksandry zdrzął podejrzenie.

Estera podniosła się z krzesła i podeszła do siostry. Usiadła obok Oli, która nagle przytuliła się do niej, ściskając ją mocno, prawie zaborczo. Cicho pochlipywała i pociągała nosem. Siedziały tak przez jakiś czas. Kwadrans, może dłużej, a może krócej.

– Przepraszam. – Jako pierwsza odezwała się Ola, odsuwając się od Estery. – Rozkleiłam się. To ta sytuacja w domu. Czy też czujesz się przytłoczona tym smutkiem?

Estera skinęła głową. Nie chciała o tym rozmawiać. W istocie pragnęła o wszystkim zapomnieć. Ola chyba odczytała intencje siostry, bo tylko się uśmiechnęła, składając gazetę, która upadła na podłogę.

– Tak, nie mówmy o tym. Ani o szpitalu. Nie teraz. Porozmawiajmy o czymś innym. O naszych planach. O marzeniach. Pofantazjujmy – zawołała zbyt głośno, zbyt radośnie, ale Estera nie miała zamiaru studiować jej entuzjazmu.

– W takim razie powiem ci coś w sekrecie. – Ola zastygła w bezruchu. Intensywnie wpatrywała się w Estere. – Sama tylko o tym myślę. Po cichu, skrycie. Boję się o tym mówić głośno, ale skoro mamy marzyć... – Zrobiła krótką pauzę, budując napięcie. – Musisz obiecać, że na razie o niczym nie powiesz rodzicom. Jestem pewna, że teraz, szczególnie teraz, od razu storpedowaliby mój plan. Obiecay – naciskała.

– Dobrze – odezwała się Ola, unosząc w górę dwa palce, niczym do przysięgi. – Obiecuję milczeć.

– Chcę się zapisać na kurs prawa jazdy.

– Nie! – wykrzyknęła Ola na całe gardło. Zaraz jednak zamilkła, zasłaniając usta dłonią. – Nie – dodała po chwili już znacznie ciszej. – Dobrze wiesz, że rodzice za nic w świecie się nie zgodzą. Może wcześniej... Może przed wypadkiem? Ale teraz? Jestem absolutnie pewna, że odmówią. Nawet gdybyś jakimś cudem przekonała papę... Mama jednak na pewno się nie ugnie. Za bardzo się przeraziła tym, co się stało. A wiesz, jaka mama potrafi być uparta, prawda?

Estera niestety musiała się zgodzić ze słowami siostry. Nie zamierzała jednak poddawać się tak łatwo.

– Zrobiłam małe rozeznanie – mówiła niezrażona. Ola usiadła na łóżku wygodniej. Słuchała zainteresowana. – Spełniam zasadniczy warunek. Mam ukończone osiemnaście lat. Powoli, z pomocą Ignacego, którego miałas okazję poznać, zapoznając się z zagadnieniami teoretycznymi i praktycznymi. Nie – dodała pośpiesznie, widząc przerażenie malujące się na twarzy Aleksandry – nie jeżdżimy. Ignas uczy mnie na razie budowy samochodu. Muszę mieć tę wiedzę chociażby w stopniu podstawowym, żeby w ogóle myśleć o podejściu do egzaminu. Niestety kurs składa się z dwóch części. Praktycznej i teoretycznej. A w tej drugiej muszę znać nie tylko przepisy ruchu drogowego, ale także budowę pojazdu.

– Po co ci to? – zapytała Ola. – Przecież ojciec i tak nie kupi ci samochodu, a nie wyobrażam sobie, żeby pozwolił ci jeździć naszym rodzinnym. Sama wiesz, jak trzęsie się nad nim, kiedy Dawid prosi o kluczyki. Dostaje je tylko wtedy, gdy jest to konieczne i wiąże się z załatwianiem spraw naszego sklepu.

– Po co? Po co? – zapytała Estera retorycznie. – Żeby mieć. – Zaśmiała się z własnej odpowiedzi. – Właśnie dlatego. Żeby je mieć. Żeby być samodzielną. Żeby nie musieć prosić o pomoc, kiedy zajdzie potrzeba wyjechania gdzieś w nagłej sprawie. Żeby poczuć się wolną...

– Och, Estero. – Ola pokiwała głową. – Czasami w ogóle cię nie rozumiem. Kiedy już myślę, że jesteś taka poważna, odpowiedziałna i że za nic w świecie nie zrobiłabyś takich głupstw jak ja, jak chociażby uwikłanie się w romans z żonatym mężczyzną, ty mnie zaskakujesz. Najpierw Sven... Potem ta wróżka. Swoją drogą, czy ty nadal się z nią spotykasz?

– Nie tak często jak kiedyś – odparła Estera. – To nie wina Madame Widawskiej. Sama nieco się od niej odsunęłam. Nie, źle powiedziałam, nie od niej, ale od spraw, którymi byłam zainteresowana.

Przeanalizowałam wszystko i zdałam sobie sprawę, że nie jestem gotowa, aby zagłębiać się w rzeczy, których chciałam się nauczyć. Nie jestem gotowa aż tak bardzo się poświęcać. Oczywiście nie porzuciłam całkowicie swoich zainteresowań, ale teraz nie odczuwam potrzeby zajmowania się tym na poważnie. Po prostu jestem ciekawa. Nasze spotkania stały się zatem sporadyczne, choć nadal bardzo serdeczne. Widawska czasami pyta o ciebie. Zawsze możesz wybrać się do niej razem ze mną.

– Pozdrów ją ode mnie. To wystarczy. Jakoś nie czułam się tam komfortowo. A wracając do zaskakiwania mnie, teraz znowu to robisz, mówiąc o prawie jazdy. Jesteś bardziej szalona niż ja. Ja byłam przewidywalna, ty nie. Nigdy nie wiem, co wpadnie ci do głowy.

– Musiałabyś mnie zatem widzieć kilka dni temu, kiedy pod komendą Ignasia odbywałam lekcje garażowo-warsztatowe. Bąkowski śmiał się do rozpuku, widząc mnie w odzieniu roboczym swojego ojca. Dziękowałam za to, że nikt inny mnie nie oglądał, a już z pewnością Sven. Spaliłabym się ze wstydu. Byłam brudna, spocona i wyglądałam jak w worku po kartoflach, ale nauczyłam się tego, co konieczne, i jestem z siebie dumna. – Mówiąc to, Estera wypięła pierś.

– Chciałabym to zobaczyć – zaśmiała się Ola. – To musiał być niezwykle widok.

– Żebyś wiedziała. – Twarz Estery nagle zrobiła się poważna. – Naprawdę chcę zaliczyć ten kurs. Boję się. Mam świadomość, że samochód to nie zabawka, ale nie mogę odmawiać sobie czegoś tylko dlatego, że nasz przyjaciel uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Nie on jeden. Mama zawsze powtarza, że jeżeli spadnie się z konia, trzeba na niego szybko wsiąść z powrotem, żeby nie dać pokonać się strachowi. I ja nie zamierzam dać się mu pokonać. Zapiszę się na kurs. Jeżeli będę musiała, zarobię na niego sama, ale zdam go, zobaczysz. Zdam i będę miała prawo jazdy.

– A więc dobrze. – Ola złapała Esterę za ręce. Ścisnęła jej dłonie. – Mamy plany i marzenia do spełnienia. Prawo jazdy i studia, bo ty też zamierzasz studiować, prawda?

Estera skinęła głową. Od jakiegoś czasu myślała o nauce, ale o dziwo już nie ciągnęło jej tak bardzo na Akademię Sztuk Pięknych. Musiała oddać rodzicom sprawiedliwość. Malarstwo było jej zamiłowaniem. Kochała malować i rysować, jednakże powoli dojrzewała do tego, aby szukać inspiracji naukowych gdzie indziej. Jeszcze nie miała sprecyzowanych celów, ale gdzieś w zakamarkach umysłu kształtowała się pewna idea, o której myślała coraz częściej i coraz intensywniej.

– Tak – potwierdziła słowa Oli. – Prawo jazdy i studia.

– A skoro już o tym mowa, to chciałam, żebyś ze mną poszła na dwa, a może trzy wydziały. Zamierzam dowiedzieć się czegoś więcej. Zobaczyć je na własne oczy. Poczuć ich atmosferę. Co ty na to?

– Możesz na mnie liczyć. Zawsze, w każdej chwili.

Po tych słowach Estera wróciła do swojego biurka. Sięgnęła ponownie po pióro.

A skoro mowa o szczęściu... Czy zobaczymy się niebawem? Twoja obecność z pewnością bardzo by mnie uradowała. Potrzebuję choćby tylko chwili radości. Mam nadzieję, że uda Ci się wygospodarować czas, aby nas odwiedzić.

Jeżeli jednak nie będzie nam dane spotkać się w najbliższym czasie, to pisz, proszę, jak najczęściej.

Tęsknię.

Twoja Estera



– Dziwnie się czuję – odezwała się Zofia, patrząc na siedzącą przy stole rodzinę. – Od prawie dwóch i pół miesiąca nie jedliśmy śniadania we własnym gronie. Od stycznia wszak towarzyszył nam Franciszek, aż do wczorajszego obiadu. Oczywiście cieszę się, że Ludwika wreszcie wypisano ze szpitala i Działoszyńscy mogli wrócić do siebie, ale muszę przyznać, że przyzwyczaiałam się do jego obecności.

– I owszem – przytaknął Aaron. – Swoją drogą, aż trudno uwierzyć, że mamy już połowę marca. Jak ten czas szybko leci... – Mówiąc to, zerknął w stronę okna.

– A ja wręcz przeciwnie, cieszę się, że znowu jesteśmy sami. – Estera odłożyła czytana przed chwilą gazetę. – Nie żebym nie lubiła pana Franciszka, ale jego smutek zrobił się zbyt przytłaczający. I proszę, nie mówcie, że tego nie czuliście. Miałam wrażenie, że nie wypada mi się uśmiechać, żartować. Cały czas uważałam na słowa, czyż nie? – Estera powiodła wzrokiem po rodzicach i rodzeństwie. Wszyscy milczeli. – Och, nie musicie już udawać. Jesteśmy wśród swoich. Nikt nikomu nie zdradzi, o czym rozmawiamy przy śniadaniu. Ola – zwróciła się do siostry – miejże cywilną odwagę powtórzyć to, co mówiłaś raptem kilka dni temu.

Mimo upomnienia Aleksandra milczała. Estera machnęła ręką. Sięgnęła po gazetę, ale zanim ją otworzyła, znowu powiodła wzrokiem po rodzinie.

– Boję się o Ludwika. Kiedy byłam u niego przedwczoraj, wyglądał dobrze. Była piękna pogoda i poszliśmy na mały spacer dookoła szpitala. Rozmawiał ze mną normalnie, ale nie jestem przekonana o tym, czy faktycznie czuje się tak, jak stara się wszystkim udowodnić. Pilnuje się. Uważa na słowa. Na gesty. Uśmiecha się

z wysiłkiem. Podjął nawet próbę zażartowania, ale to wszystko było sztuczne i nienaturalne.

– Kochanie, ale czegoś się spodziewasz? – Zofia odwróciła się w stronę córki. W dłoni trzymała filiżankę z parującą wciąż herbatą z mlekiem, za którą przepadała. – Przecież rany, i nie mówię o tych fizycznych, ale psychicznych, są zbyt świeże. Uważałabym, że zbyt swobodne zachowanie i zbyt duża radość są podejrzane, ale nie to, co mówisz.

– Mamo, znam Ludwika. Od dziecka. Przyjaźniliśmy się. – Estera nie była przekonana do słów matki. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że wciąż cierpi. Tęskni za matką i to się nie zmieni do końca jego życia. Mimo wszystko uważam, że nie jest szczerzy w swoim zachowaniu. Ukrywa coś. Chowa się za tą nową wystudiowaną maską, którą stworzył na potrzeby lekarzy, ojca i nas.

– Całe szczęście, że Franciszek postanowił wyjechać z nim na jakiś czas za granicę. – Do rozmowy wtrącił się Aaron. – Spotkałem się z nim kilka dni temu. Prosto ze szpitala przyszedł do mnie do sklepu. Długo rozmawialiśmy o naszych planach i o tym, jak to wszystko będzie teraz wyglądać. Wtedy też wspomniał o wyjeździe. Zabiera Ludwika do sanatorium. Mógłby wybrać jakieś miejsce w Polsce. Góry albo morze. Ale wybrał zagranicę. Nie za daleko, ale i nie za blisko. Bierze pod uwagę dwie lokalizacje. Obie w Austrii, nieopodal Wiednia.

Na dźwięk tych słów Estera poczuła, jak serce zaczyna bić jej szybciej. Słowo „Wiedeń” wywoływało w niej lawinę niezwykłych wspomnień. Zdała sobie sprawę, że policzki zaczynają ją piec. Dotknęła jednego z nich zimną dłonią.

Tak, na pewno lekko się zaczerwieniła. Powiodła wzrokiem dookoła. Ola wpatrywała się w nią intensywnie. Na ustach siostry igrał porozumiewawczy uśmiech. Estera odpowiedziała tym samym. Tymczasem Aaron opowiadał dalej.

– Najpewniej zdecyduje się na Baden bei Wien, niecałe trzydzieści kilometrów od stolicy Austrii. Kiedy znudzi im się klimat sanatorium, zawsze będą mogli pojechać do Wiednia. Franciszek zrobił dokładny rekonesans. Jego wiedeńscy przyjaciele, którzy opisali mu Baden bei Wien ze szczegółami, utwierdzili go w przekonaniu, że to doskonały wybór. Jest to miejsce wymienite dla rekonwalescencji i próby pogodzenia się z traumą. Mają tam baseny termalne, park zdrojowy, źródła siarkowe, a poza tym ten region słynie z uprawy winorośli. A i ponoć jest tam także ogród różany. Jestem pewny, że w takim miejscu Ludwik szybko wróci do zdrowia, tak fizycznego, jak i psychicznego. Otoczony będzie troską i miłością. Zobaczysz. – Mówiąc to, Aaron zwrócił się do Estery: – Kiedy wrócą, Ludwik stanie się tym samym Ludwikiem co zawsze.

– Mam nadzieję – skwitowała młodsza z córek.

W pokoju na kilka chwil zapadło milczenie. Estera wykorzystała ten moment, żeby znowu zanurzyć się w lekturze gazety. Matka delectowała się herbatą. Ojciec wciąż głodny sięgnął po dokładkę, tylko Dawid wydawał się dziwnie niespokojny.

– Na litość boską – warknęła Estera, patrząc na brata. – Jeżeli chcesz coś powiedzieć, to powiedz.

Po jej słowach cała rodzina zwróciła się w stronę Dawida.

– Tak – zająknął się, poprawiając się na krześle. Kręcił się na nim jeszcze jakiś czas, w końcu zerwał się na równe nogi. – Tak, Estera ma rację. Chciałem coś powiedzieć. Jakiś czas temu napisałem do ciotki Marty, wspominając o swoich planach. Zwróciłem się do niej jednocześnie z prośbą o możliwość przyjazdu. Czekałem z niecierpliwością na jej odpowiedź. Przedwczoraj, kiedy przeglądałem korespondencję, która przyszła razem z gazetami, zauważyłem list adresowany do mnie. Tak, to była oczekiwana odpowiedź. Muszę przyznać, że zdziwiłem się mocno. Nie tego się spodziewałem.

Właściwie aż trudno było mi w to uwierzyć... – Dawid zrobił krótką przerwę, zapewne po to, aby zbudować napięcie i wzbudzić w słuchających większą ciekawość. Estera pokręciła głową na takie zachowanie. – Otóż nasza kochana Marta przeprowadziła się z Londynu do Szkocji.

– Co!? – Zofia wykrzyknęła zaskoczona. Powiodła wzrokiem po dzieciach. Jej zdumione spojrzenie spoczęło na mężu. – Aaronie, czy ty to słyszysz? To z pewnością jest jakaś pomyłka. Zapewne źle zrozumiałeś. Chodziło jej może o krótki wypad, jakieś wczasy, wycieczkę, leczniczy pobyt, ale nie przeprowadzkę. Nie Marta – zapewniła Zofia. – Ona ubóstwia Londyn. Kocha to miasto bardziej niż swojego męża. To niemożliwe.

– A jednak... Zresztą... – Mówiąc to, Dawid sięgnął do kieszeni spodni. Wyjął z niej kilka zgiętych kartek. – Posłuchajcie, proszę. – Powiodł wzrokiem po tekście. – O, tu. – Odchrząknął i zaczął czytać.

To będzie dla was wielka niespodzianka. Jestem pewna, że Zofia nie da wiary temu, że z własnej nieprzymuszonej woli opuściłam Londyn, ale tak właśnie się stało. Mój kochany Michael namawiał mnie już na ten krok od bardzo dawna. Wiecie przecież, że pochodzi właśnie ze Szkocji. Nigdy nie skarżył się na miasto tak duże jak Londyn, ale wiem, że tęsknił okrutnie. Starzejemy się, czas ucieka. Nie ma co czekać i zwlekać. Kiedy więc jakiś czas temu znowu zaczął wspominać rodzinne strony, zaproponowałam wyjazd na rekonesans. Dom, który należał wcześniej do jego rodziców, a teraz, po ich śmierci, automatycznie stał się własnością Michaela, był w doskonałym stanie. Byliśmy zdziwieni, ale w końcu osoba, którą opłacaliśmy, aby go doglądała, spisała się na medal. Nie miałam żadnych wymówek. Mogliśmy się wprowadzić od razu. Widziałam, jaki był szczęśliwy. I ja też czułam się tam doskonale, co muszę

przyznać szczerze, mocno mnie zaskoczyło. Zostaliśmy tam kilka dobrych tygodni. Wystarczająco długo, abym miała czas zatęsknić za tempem i szumem wielkiego miasta. I wiecie co? Nie tęskniłam. Nic a nic. To mnie ostatecznie przekonało. Pojechaliśmy więc do Londynu tylko po to, aby pozalać wszystkie sprawy, spakować się i czym prędzej wróciliśmy do Montrose.

– Dawid odłożył list.

W salonie zapadła cisza.

– Niesłychane. – Jako pierwsza ponownie odezwała się Zofia. – Świat się kończy...

– Abstrahując od zaskoczenia, jakie z całą pewnością przyniosły te wieści, co pisze Marta w sprawie twojego przyjazdu? – zapytał Aaron.

– Nic, to znaczy zapraszają mnie z Michaeliem serdecznie, jeśli mam zamiar zamieszkać z nimi w Montrose.

– A masz? – odezwała się milcząca do tej pory Aleksandra.

– Najpierw odrzuciłem propozycję, ale im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej się przekonywałem, że może to nie jest taki zły pomysł. Pracować mogę wszędzie. Niekoniecznie w handlu. Mam dwie ręce, jestem zdrowy, młody i silny. A w końcu z Montrose do Londynu jest zapewne znacznie bliżej niż z Krakowa. Odpowiadając na twoje pytanie, ojcie, tak, mam zamiar wyjechać i zamieszkać z ciotką Martą oraz wujkiem Michaeliem.

– Alleluja – skwitowała Estera, szeleszcząc na powrót gazetą.

– Zastanawia mnie, co jest aż tak ciekawego w porannej prasie, że odcinasz się od rodzinnych rozmów? – zapytał ojciec.

– Przeglądam ogłoszenia, także te o pracę. O, chociażby to, w którym poszukują młodej panienki do pomocy u dentysty na Karmelickiej 12. Dlaczego miałabym nie spróbować? Chciałabym chociaż w niewielkim stopniu się usamodzielić.

– Czy czegoś ci brakuje? – Zofia wyglądała na zdenerwowaną.
– Mamo. – Estera przysunęła się z krzesłem w stronę matki. – Nie chodzi o to, że czegoś mi brakuje. Po prostu chciałabym mieć własne pieniądze.

– Nie musisz prosić o pracę obcych ludzi. Wystarczy porozmawiać z ojcem, chyba się nie mylę? – Zofia wyglądała na urażoną.

– Kochanie. – Aaron dotknął jej dłoni. – Sami byliśmy młodzi. Dobrze pamiętam, że też chciałem być samodzielny i nie zamierzałem pracować z ojcem. Pozwól Esterze i Oli, jeżeli ona również zapragnie iść do pracy, żeby spróbowały własnych sił.

– Póki co jednak zastanawiam się, czy nie wybralibyśmy się całą rodziną do kina. Tak dawno nigdzie nie byliśmy, prawda? – Estera patrzyła na matkę, sądząc jej nastrój. – Zasłużyliśmy na małą rozrywkę. O, posłuchajcie. W Domu Żołnierza grają *Pożegnanie z bronią* z Garym Cooperem. Idziemy?

Pytanie na chwilę zawisło w powietrzu. Kiedy na ustach Zofii pojawił się szeroki uśmiech, Estera klasnęła w dłonie z radością. Cieszyła się jak dziecko na samą myśl, że wreszcie odetchnie od przytłaczających ją myśli i trosk. Że chociaż na chwilę przestanie się martwić Ludwikiem i jego powrotem do zdrowia.



Od ponad dwóch godzin Estera siedziała zaczytana, pochylając się nad wtorkowym wydaniem „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, który ojciec odłożył na stół po skończonym śniadaniu. Zupełnie uszły jej uwagi nad nową konstytucją. Kiedy więc zerknęła do „Ikaca” z czystej ciekawości, aby się dowiedzieć, co ciekawego wydarzyło się nie tylko w mieście czy kraju, ale i na świecie, jej wzrok od razu padł na artykuł z pierwszej strony opisujący wieczorne wydarzenia z poprzedniego dnia. Nagle radosne okrzyki, które

słyszała w nocy, a które niosły się po Rynku, stały się oczywistymi przejawami ekscytacji.

– Wyobraź sobie – odezwała się do Oli, która akurat weszła do jadalni, trzymając w ręce gazetę – że w nocy nie tylko u nas ludzie cieszyli się tak głośno i spontanicznie. Już wczoraj, leżąc w łóżku, zachodziłam w głowę, co się stało. To samo pytanie pojawiło się dziś, kiedy z samego rana odezwały się kościelne dzwony i syreny straży pożarnej. Zapomniałam zapytać ojca, zresztą on jak zwykle tak był pochłonięty czytaniem, że nie chciałam mu przerywać. Dziwię się tylko, że sam nie zaczął rozprawiać o uchwaleniu nowej konstytucji. Ponoć sejm przyjął ustawę. Czyż to nie ekscytujące?

– Chcesz, żebym zaczęła się fałszywie ekscytować i udawać, że mnie to obchodzi, czy chcesz prawdy?

Estera przewróciła oczami. Zupełnie wyleciało jej z głowy, że Ola nigdy nie interesowała się polityką. Do tej pory, jeżeli już była widywana z prasą codzienną w ręku, to po to, aby poszukać nowinek związanych z modą. Estera mimo wszystko zerknęła siostrze przez ramię. Tym razem również to nie polityka była przedmiotem jej skupienia, a moda właśnie. Młodsza siostra uśmiechnęła się nieco złośliwie, a potem dodała z przekąsem, nie mogąc oprzeć się pokusie, żeby dogryźć Oli.

– Na twoim miejscu zaczęłabym się nieco interesować tematem. – W głosie Estery dało się słyszeć lekką nutkę przygany. – Sięgać po gazetę nie tylko w poszukiwaniu nowych krojów sukienek. To dobra rada i powinnaś ją docenić, a także wziąć pod uwagę, jeżeli faktycznie chcesz zaimponować nie tylko Thomasowi, ale także jego rodzicom. – Aleksandra wyglądała na oburzoną. Nie przywykła do tego, żeby ktoś krytykował ją tak otwarcie. Wszystko brała do siebie i uważała za atak. – Nie chcę sprawić ci przykrości. Zresztą dobrze wiesz, że mam rację. Sęk w tym, że powinnaś to robić nie dla nich, a dla siebie.

Ola westchnęła. Jeszcze przez chwilę wyglądała jak chmura gradowa, w końcu zrezygnowana, z opuszczonymi smętnie ramionami i zwieszoną głową, usiadła obok siostry.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Staram się zajmować także czymś poważniejszym, ale te rzeczy – mówiąc to, wskazała na gazetę leżącą na stole przed Esterą – nie interesują mnie wcale. Chciałabym móc czytać je z takim zacięciem jak ty, lecz nie jestem w stanie się przemóc. Nudzę się śmiertelnie. A kiedy to się dzieje, przestaję rozumieć, o czym czytam. To błędne koło. Najwyraźniej jestem na to zbyt głupia i matka Thomasa miała rację.

– Ola! – Estera podniosła głos. – Co się do licha z tobą dzieje? Jeszcze kilka dni temu byłaś w bojowym nastroju. Mówiłaś coś o wyborze kierunku studiów. Widziałam w tobie autentyczną, nieudawaną radość, a dziś chcesz mnie przekonać, że to wszystko, o czym mówiłaś i marzyłaś, było błędem rozkapryśzonej dziewczyny? Nie, nie daję się na to nabrać. – Estera odłożyła „Ikaka”.

Wzięła Olę za ręce i zmusiła ją do tego, aby spojrzała jej w oczy. Wzrok Aleksandry był szklisty od powstrzymywanych łez.

– Od jakiegoś czasu czekałam na list od Thomasa. Nie pisał już tak długo, ale wcale mnie to nie martwiło, ponieważ w poprzednim liście wspomniał, że może być niebawem mocno zajęty. Zapewniał jednak, że będzie wykorzystywał każdą wolną chwilę, aby napisać. Jak zawsze zakończył list wyznaniem, że wciąż mnie kocha i zrobi wszystko, abyśmy byli razem. Ja jak zwykle wysłałam mu pocztówkę z pozdrowieniami. Kiedy wczoraj wieczorem tatko dał mi list z Anglii, byłam pewna, że to od Fitzpatricka, ale okazało się, że zamiast niego napisała jego matka.

– Ona? – zdziwiła się Estera. – Czyżby Thomas był aż tak zajęty, że do korespondowania ze swoją ukochaną wykorzystuje matkę?

– Nie wiem, co o tym sądzić. – Ola zaczęła pochlipywać, a powstrzymywane do tej pory łzy popłynęły jej po policzkach. Estera

podala jej chusteczkę. – Mam wrażenie, że ona napisała ten list za plecami Thomasa, ale nawet gdyby tak było, czy to, co w nim umieściła, jest prawdą czy zaklinaniem prawdy, a może po prostu wierutnym kłamstwem?

– O czym więc pisze Fitzpatrickowa?

– Początek korespondencji jest typowy, nawet miły. Czytając, miałam wrażenie, że zamierza mnie nawet przeprosić za swoje zachowanie. Pomyślałam, że najwyraźniej Thomas w końcu coś wskórał, ale im bliżej byłam końca, tym jasne stawało się, że ten list wcale nie miał mnie udobruchać czy rozweselić, a jedynie upokorzyć i zasmucić. Zgodnie z jej słowami Thomas kogoś poznał. To jakaś bogata klientka. Jest nią zauroczony. Wykorzystuje każdą chwilę, aby być z nią, dlatego nie ma czasu, żeby do mnie pisać. Ona jest nie tylko piękna, ale także bogata i pochodzi z dobrego, arystokratycznego rodu, a co najważniejsze, jest wykształcona. Tym ostatnim dorównuje nawet Thomasowi. Dzięki temu z łatwością znajdują wspólny język.

– Nie widzisz, że to prowokacja?

– A może właśnie tak jest? Może dlatego Thomas nie pisze? Nie dlatego, że jest zapracowany, tylko zakochał się w kimś innym? Dobrze wiesz, że miłość na odległość ma niewielkie szanse na przetrwanie.

– Zapewne mogłabym przekonywać cię przez długie godziny, że to wszystko bzdury i taki właśnie efekt chciała osiągnąć jego matka. Zasiała ziarno zwątpienia. Mam jedną głowę i dałabym ją sobie uciąć, że Thomas nie ma pojęcia o tym liście i kłamstwach, jakimi uraczyła cię jego matka.

– Więc co mam robić?

– Napisać do niego – odparła Estera z uśmiechem. – Oczywiście nie powinnaś wspominać o jego matce i o tym, co insynuowała. Napisz, że... – Estera urwała. Zastanawiała się przez chwilę. – Tak, napisz, że wiesz z pewnego źródła o jego nowej miłości. Nie rób

mu wyrzutów. Nie dramatyzuj. Nie szantażuj. Musisz podejść do tego na chłodno. Powiedz mu, że rozumiesz jego motywacje i nie masz mu za złe takiego wyboru. Wszak, jak sama powiedziałaś przed chwilą, miłość na odległość bardzo trudno pielęgnować. Chciałabyś tylko, aby on osobiście napisał, jak się sprawy mają, i zwolnił cię ze wstępnej obietnicy, żebyś mogła także w zgodzie ze swoim sumieniem znaleźć sobie kogoś nowego, tu na miejscu, w Krakowie.

– Nie mogę tego napisać...

– Możesz i zrobisz to – odparła Estera, wstając od stołu w poszukiwaniu czystej kartki i czegoś do pisania. – Pisz. – Mówiąc to, podsunęła Oli papier i pióro. – A potem pójdziemy wysłać wiadomość do Londynu. Po drodze możemy zajrzeć na wydziały, o których wspominałaś, prawda?

Ola spojrzała na siostrę. Chociaż przyszło jej to z trudem, uśmiechnęła się do niej, a potem skinęła głową.

– Dziękuję – powiedziała Ola, kiedy parę godzin później zmęczone, ale szczęśliwe wracały do domu. – Za to, że ze mną porozmawiałaś i przemówiłaś mi do rozsądku. I za to, że uprzedziłaś mamę, że wrócimy późno, więc nie ma co czekać na nas z obiadem. I oczywiście jeszcze za to, że poszłaś ze mną na uniwersytet, bo sama chyba nigdy bym się nie odważyła.

– Nie ma za co – zaśmiała się Estera. – W końcu byłam ci to winna za twoje towarzystwo u Madame Widawskiej, ale nie mówmy dziś o tym. I jak? Chciałaś sprawdzić tylko dwa kierunki. Zaskoczyłaś mnie tym wyborem, nie powiem. Oba interesujące, ale tak odległe od siebie, jak to tylko możliwe.

– O położnictwie myślałam już jakiś czas temu. Później, kiedy odwiedzałyśmy Ludwika w szpitalu, kilka razy zaszłam na oddział, żeby zobaczyć niemowlaki. Miałam wrażenie, że to może być dobry wybór. Gdy kiedyś byłaś z wizytą u Ludwika, poszłam

do biblioteki. Chciałam nieco poczytać, czegoś się dowiedzieć. Wypożyczyłam nawet podręcznik Aleksandra Rosnera. Przejrzałam go z zainteresowaniem. Szczególnie dużo czasu poświęciłam rozdziałowi o ciąży bliźniaczej. Wyszłam z biblioteki z pełnym przekonaniem, że znalazłam swój kierunek.

– Wyczuwam jakieś „ale” – wtrąciła Estera.

– Tak, jest bowiem małe „ale”. Niedługo po tym wpadła mi w ręce jedna z gazet mamy, „Tajny Detektyw”, którą swego czasu prenumerowała. Z nudów, a może z ciekawości, zajrzałam do środka i zaczytałam się w historii z ubiegłego roku. Może zresztą pamiętasz, było nawet o tym głośno. Mówię o śmierci małego chłopca, trzyletniego Józefka, którego ponoć miał zabić ojciec.

Estera skinęła głową. Ola mówiła dalej.

– Ojciec od razu przyznał się do winy. Aresztowano go, ale śledztwo prowadzono w dalszym ciągu i w jego wyniku okazało się, że matka wcale nie była bez winy. Zaczęłam czytać kolejne artykuły i dowiedziałam się, że duży wkład w rozwikłanie tajemniczych zbrodni wnosi medycyna sądowa. Dlatego poprosiłam cię, żebyśmy dziś zaszły do katedry medycyny sądowej i policji lekarskiej. Mam mętlik w głowie. Chciałabym studiować i tu, i tam, ale wiem, że są ograniczenia. Zdaję sobie sprawę, co chcesz powiedzieć. Że nie muszę wybierać, ale znam siebie i chociaż dziękuję ci za pokładaną wiarę w moje możliwości, to muszę się na coś zdecydować. Mogę iść tylko na jeden z tych kierunków. Myślałam, że dziś zdołam się upewnić w wyborze, ale jest jeszcze trudniej.

– Przecież nie musisz wybierać teraz. Masz czas. Zastanów się. Prześpij się z tym. Z tego, co wiem, to wstęp na wykłady jest wolny. Jeżeli chcesz, mogę to sprawdzić. Ignacy na pewno będzie wiedział i z chęcią nam pomoże. Możesz iść raz tu, raz tam. Posłuchać. Uczestniczyć w jednym lub kilku wykładach. Przekonasz się, co bardziej do ciebie przemawia.

Powoli zbliżały się do domu. Zwolniły nieco kroku, chcąc dokończyć rozmowę przed wejściem do środka.

– Chciałabym mieć taką pewność, jaką ty masz. Wiesz, że pragniesz studiować malarstwo i nie masz dylematów.

– Niestety, ta pewność gdzieś zniknęła. – Mówiąc to, Estera westchnęła głośno. – Już nie jestem tego taka pewna. Uwielbiam malować. To moje hobby, a od niedawna także praca dorywcza, jeśli zdobędziemy z Ignacym jakieś zlecenie. Na razie tylko czekamy. – Zaśmiała się, ale w jej śmiechu nie było radości, raczej gorycz i rozczarowanie. – Z trudem, ale przyznaję rodzicom rację. Mam nieodparte wrażenie, że jeżeli skuszę się na naukę, nie będzie to raczej Akademia Sztuk Pięknych. Tak więc widzisz, siostrzyczko, obie mamy ten sam dylemat. Musimy dokonać wyboru, który zadecyduje o naszym przyszłym życiu. – Estera poklepała Olę po plecach, po czym otworzyła drzwi prowadzące do ich kamienicy.